

Moje ręce pachną pieniędzmi i dymem z papierosów. Przyzwyczaiałam się. Muszą tak pachnieć, bo pracuję w kasynie, palę i liczę od ósmej rano, i tak przez dwadzieścia cztery godziny, do następnej ósmej rano. Razem ze mną śmierdzi Marcin, wrażliwy gangster z epilepsją i Karolina, dawna prostytutka, czyli alkoholiczka.

Moje ręce pachną płynem do podłóg. Jest czerwony, bo tylko taki kolor można związać z wonią kwiatów. Ale tak nie pachną kwiaty ani świerk, ani ocean rozlewający się po krańce świata. Tak pachnie świeżo umyty kibel.

Dlaczego nie Morze Północne, niesie mokry wiatr i kręcą się nad nim włosy. Woda rozlewa się po twardym piasku, moczę palce i odbija mi się w okularach słońce. Para Hindusów trzyma się za ręce i rzuca patyki w stronę wydm. Palę jointa i myślę o Oldze, jej imię jest ostre jak zapach chloru, parzy moje plecy, w środku sierpnia, nad ranem, kiedy jest mi już wszystko jedno.

W upalne dni pieniądze pachną najbardziej. Rozgrzane, drżące ściany i ich cierpki, żółty smak, który przykleja się do skóry. Tak samo pachnie nieprana długo pościel. A w niej poparzona skóra i zakurzone stopy, każda noc i dzień, wszystkie kieliszki wódki, spojrzenia, kobiet i mężczyzn, moje ciało, które dotykam nad ranem, bo potrafię, muszę, jakbym chciała udowodnić, że jeszcze mam ciało albo oszukać siebie, że to nie moje ręce. To zawsze są moje ręce, nie znam innych, wszystko szorstkie i szare, wszystko biegnie.

Cały mój strach tkwi pod skórą. Piję więcej wódki, bo tylko tak mogę znieść noc, kiedy jestem w pracy. Nigdy nie podchodzę zbyt blisko, omijam krzesła i mężczyzn, ich skórzane kurtki parzą ręce. Piję wódkę i nikt nie może wyczuć, że już się nie boję.

Nigdy nie patrzę im w oczy, nie mogłabym, ani graczom ani kasjerce w sklepie, przyjacielowi, urzędniczce i kobiecie, którą kocham nad życie. Wydawało mi się zawsze, że nie można i patrzyłam na szyję, na usta i policzki, wszędzie tam, gdzie nikt nie jest człowiekiem. Tylko moje oczy, rano, przed świtem, kiedy wychodzę do kasyna. Są bardziej zielone, odkąd noszę soczewki, odbijają się w nich światła maszyn i wodzą na pokuszenie.

Pali mnie twarz. Alkohol rozrzedza mi krew, a przede mną czerwony olbrzym chwieje się i nie wiem, gdzie upadnie. Widuję go czasem, stoi wciąż w miejscu, najczęściej pod kasynem, bo jest zbyt pijany, żeby obrać jakiś kierunek. Dudni w moje ściany, kiedy się ściemnia i ma złe spojrzenie, czerwone jak jego skóra, wgryza mi się w plecy, kiedy stoję na zapleczu i wycieram popielniczki.

Jest rano i mgła zalewa drzewa. Czerwony olbrzym, który traci skórę, nachyla się nade mną i pyta, czy go kocham. Wtedy najbardziej pali mnie twarz, wtedy jest najbardziej rano. Jak mogłabym powiedzieć, że nie, kocham, w jego oczy nie można patrzeć, bo są za daleko, za wysoko, nie sięgam do nich. Dotyka mojego przedramienia, a dreszcze sięgają do kości. Strach tkwi pod skórą.

- Pożycz mi stówę. Oddam ci, przecież wiesz.

Nie wiem. Mam nóż, gdyby mi nie uwierzył. Leży na stole, pod gazetą.

Czerwony olbrzym chwieje się i nie wiem, gdzie upadnie. Słyszałam, że zanim się rozpadł, miał firmę i rodzinę, może nawet rodzinę i firmę, imię. Nikt nie wie, jak się nazywa. Jest czerwony, więc pewnie Rafaf. To pasuje. Gdyby był fioletowy, miałby na imię Grzegorz.

- Wyglądasz na zmęczoną - mówi Rafał.

- Ty też.

- No, kurwa, co przyjdę w weekend, to ty zawsze tutaj.

- Tak wypada jakoś. Wisisz mi trzy stowy.

- Wiem, jutro mam wypłatę, to przyniosę.

- Nic ci nie zrobię, jak nie przyniesiesz, ale przynieś.

- Wiem, że nic mi nie zrobisz. A chciałbym, żebyś coś mi zrobiła, ale mnie nie kochasz.

Nie Kocham. Nikogo nie Kocham.

Jestem grzeczna, ale nigdy miła. Uśmiecham się, kłaniam, zabawiam rozmową, robię kawę i skręcam papierosy.

- Nic nie daje, ani arbuzów ani nawet wiśni.

- Może jej trzeba podrzucić trochę.

Zawsze wierzę w to, co mówię. Nie oszukałabym gracza. Podrzucić, a wygrasz, a potem wrzucisz wszystko z powrotem i nic nie stracimy. Mój szef nic nie straci i ja nic nie stracę, najbardziej poczucia, że to wszystko gówno, że śmierdę nim tak samo jak on, oni, ty, my.

Nie lubię słowa "klient", jest odpowiednie w sklepie albo burdelu, ale nie tutaj. Gracze, tak można ich nazywać.

Karolina nazywa ich klientami. Myślę wtedy o Niemcach, którym oddawała się za euro po cztery dwadzieścia jeden. Euro było pięćdziesiąt. A może dwadzieścia albo sto pięćdziesiąt, za godzinę czy piętnaście minut. Niemcy mieli mercedesy, kulawe żony i rozkapryszone córki, które żuły gumę i malowały rzęsy przed wyjściem do szkoły, jakby nie można było się zbuntować w bardziej oryginalny sposób. Niemcy byli sfrustrowani i chcieli rozmawiać, a Karolina z takim wdziękiem chowała euro do portfela, że szybko nauczyła się mówić po niemiecku.

- Ich liebe dich.

Jej syn jest jedynym mężczyzną, któremu mówi to za darmo. Ma cztery lata i Karolina jest piękna, najpiękniejsza, jedyna. Z ciemną przerwą między zębami i piwem w ręce nachyla się nad nim.

- Uspokój downa, synu.

Syn się nie słucha. Nikt jej nie słucha, tylko gracze, klienci.

Mówią na mieście, że kasyno to burdel pod przykrywką automatów do gry, a Marcin jest alfonsem.

- Pełen prestiż, jeszcze dilerkę trzeba rozkminić.

Mówią, że jesteśmy kurwami i Karolina lepiej daje.

Brali nas we dwóch, na stole i w kiblu. Brał Robert, operator maszyn, czerwony olbrzym i Marcin, mój wrażliwy gangster z padaczką.

- Zniszczę każdego, kto cię tu dotknie.

Powinien zniszczyć przede wszystkim siebie, ale wrażliwy gangster mnie kocha.

Inne kobiety są szlampetami, noszą futrzane buty i bluzy z pomponami, a ich twarze wyglądają, jakby myły je w kiblu.

- Ty jesteś inna.

On też jest inny.

Skreca jointa z trzech luf, włącza Niggaz With Attitude i wychodzi na balkon. Eazy-E jest jego bogiem, Bóg ojcem, a ojciec donem.

Chmury prawie dotykają ziemi. Pada od trzech dni.

Marcin mówi o mordach i gwałtach, ostatnim słowie, jakie można wypowiedzieć, zanim się umrze.

W telewizji ceremonia przebudzenia. Budzą się wampiry, a ja usypiam. Palę kolejnego papierosa, mam od tego żółte palce i myślę, że nie dożyję następnej wiosny.

- Rozepnij ten guzik.

- Nie.

- Proszę.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie chcę.

- To chodź się pomacamy.

- Nie.

- Ale tak troszeczkę.

- Nie.

- Co z tobą?

Nic, zakochałam się.

Wychodzę.

Nie mam fantazji, nigdy nie miałam. Zdziaczało mi ciało. Wydaje mi się, że potrafię, póki patrzę, biegnę i nie mogę się zatrzymać. Umiesz udawać orgazm? Strach zawsze tkwił pod skórą.

Siedzę na krawężniku i patrzę na dziewczynę w okularach w czarnej oprawce. Palę papierosa, dym ciągnie w stronę domu. Horyzont chowa się w czerwonym niebie, żdźbła trawy wchodzą między palce. Czołem płynie rosa. Mruczę więcej, niż mówię, bo za dużo wypiałam.

Myślę, że Kant nie miał racji. Prawo moralne nade mną i niebo gwieździste, twoje ręce, we mnie.

Sierpniowy wiatr jest taki gładki. Nikt się nie dowie. Budynki uniwersytetu są ciche, przyspieszają tylko oddech na ten jeden moment, ale zasną, nim dotrę do domu.

Dziewczyna w okularach mówi o chwili i nie może się zatrzymać, bo ma już mnie, moje usta i guziki, plecy obdarte ze skóry wysokim napięciem.

Mówi o chwili i mam jej kolczyki w palcach, pod językiem. Stalowy smak perfum, którymi spryskała szyję przed wyjściem z domu.

Drży nam w mięśniach wódka. Nie przyznam się nigdy, że coś czuję, bo już nic nie czuję. Dziewczyna w okularach jest piękna.

Dotknij mnie ostatni raz. Ostatni raz. Ostatni raz jeszcze raz, zanim wsiąknę z powrotem w plastikową budkę z automatami do gry o niskich wygranych. Jest czwarta nad ranem.

- Nikomu nic nie powiem.

Idę do domu. Przez chwilę waham się, czy nie pójść od razu do pracy, ale muszę zmyć z siebie tą noc, jej oczy i ręce.

Patrzę w lustro i nic nie widzę. Czarne dready i gładka do okrucieństwa skóra.

Patrzę w lustro i zastanawiam się, kto w środku mnie jest większym kłamstwem, ja czy ty.

Zawsze byłam przerysowana.

Obok mnie moja dziewczyna. To podłe, bo tylko obok, bo nie jest moja. Jest osobna.

Mówi o wekslach, prawnikach, wizycie francuskich właścicieli firmy, w której pracuje.

Mruczę, żeby potwierdzić, że słucham. Myślę o dziewczynie w czarnych okularach. Nie powinnam jej więcej spotykać. Powinnam prasować ubrania mojej dziewczyny, podawać jej ręcznik, kiedy zapomni o nim przed pójściem pod prysznic, robić rano herbatę i całować jej czoło na dobranoc.

Ciemna, ciasna cisza, tylko to mi wolno. Boję się spać, bo śnią mi się dni, które nigdy się nie zdarzają - szyje dalekich kobiet i zapach wódki wymieszany z ciemnym wiatrem i potem. Nie mogę być sama, a ona zawsze jest obok, pociąga nosem i brzmi to jak chrapanie. Zawsze mnie tym budzi. To dziwne jak zapach wdziera się w powietrze, rozrywa mi to płuca. Jest siódma i nie mogę dłużej spać. Nie mogę leżeć obok niej i czuję, jak wszystko jest szorstkie, prześcieradło, jej włosy, skóra, którą kochałam, zanim ją poznałam. Słyszę śpiew ptaków, wydzierają się pod naszym oknem i chcę jej o tym opowiedzieć, ale śpi, kurwa, śpi i pociąga nosem, i śpi, i żre mnie tym zapachem, a ja nie mogę umrzeć tylko dlatego, że jeszcze się nie urodziłam.

Pracuję w najbardziej plastikowym miejscu na świecie. Może żyję tak, może wszystko musi być takie, w kawalkach, pijane, zamglone, rozchwiane. Jeżeli chcesz mnie poderwać, załóż skórę, wypij cztery piwa i dwie setki, nie myj włosów przez tydzień i mów do mnie "skarbie".

- To jak? Jedziesz do mnie? Chciałbym rozprostować trochę język.

Bębny maszyn obracają się w mojej głowie. Na liczniku trzy tysiące, w żyłach dwa promile.

Wychodzę.

Wije ciepły wiatr i ciągnie za sobą ciemne niebo.

Spadnie deszcz. Światło ciche jak nigdy dotąd, szumią drzewa, drżą topole i moja skóra. Jest szorstka, lepka od kurzu, który wymiatam codziennie ze wszystkich kątów. Zakładam sweter, zawsze noszę go ze sobą, bo może być zimno, zawsze jestem przygotowana na ból, chłód i zarazki. Strach tkwi pod skórą. To chmury, puste żyły. Wiatr wrzyna się w szyję, porywa dym z papierosa, a ja myślę, że umrę. Nie można inaczej. To chmury i puste żyły, nie płynie już żadna krew, powietrze jest gęstsze od ołowiu i coraz ciśniej oplata dęby. Strach jest obcy i pachnie deszczem. Obcy głos i obce palce, ciemne, ciche, rozdzierają serce. Nie można inaczej. Zawsze byłam osobna. Wydawało mi się, że tylko moje oczy widzą, tylko moje płuca domagają się nieustannie powietrza. Patrzyłam na ludzi i czułam, jak puchną mi od ciepła żyły. Ja słyszałam i mnie było zimno. Obok moja siostra, wiedziałam, że też patrzy, słyszy, czuje na palcach krople deszczu, zupełnie jak ja, ale tylko ja widziałam i czułam na moich palcach moje krople deszczu. Samotność tkwi w środku istnienia, nie można inaczej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

indeed, dodano 18.06.2013 19:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.